



Polowanie w czasach rewolucji

Witold Daniłowicz

Jakoś rok temu mój francuski przyjaciel Jacques zaprosił mnie na polowanie na kaczki w delcie Rodanu na południu Francji. Camargue to jeden z największych obszarów wodno-błotnych w Europie, słynący właśnie z ptactwa. Byłem tam już wcześniej na bardzo ciekawych i udanych łowach, więc zaproszenie ogromnie mnie ucieszyło. Nie wiedziałem jednak, że znajdę się w samym środku rewolucji.

Pamiętałem poprzednią wyprawę, kiedy dotarłem na miejsce bez broni i bagażu (zagubionych przez Air France), dlatego tym razem postanowiłem przylecieć do Marsylii nieco wcześniej, czyli w piątek wieczorem, i wylecieć do Warszawy w niedzielę wieczorem. Ja i Jacques planowaliśmy zjeść spokojnie kolację w piątek i wyruszyć do Camargue w sobotę rano, by po wczesnym obiedzie przed wyjściem na zło-

ty móc jeszcze zapolować z podchodu z psem na bekasy i bażanty. Nawet pogoda zapowiadała się dobra – przelotne opady, ale bez mrozu.

żółte kamizelki

Zaczęło się dobrze. Mój bagaż dotarł – torba i broń wyjechały razem na jednej taśmie. Mimo dużej czerwonej przyciskowej z wizerunkiem rewolweru żadne służby nie zainteresowały się tym, kto odbiera broń. Po prostu wzięliśmy ją z taśmy i wyszliśmy z lotniska. Przypomniało mi się, jak kilka lat wcześniej pierwszy raz przyleciałem do Francji na polowanie. Po zdjęciu bagażu i broni z taśmy zacząłem się rozglądać, komu zgłosić mój nietypowy ekwipunek. Przy wyjściu stało trzech mundurowych

(chyba żandarmów), więc podszedłem do nich i oznajmiłem, że przewożę strzelbę. W odpowiedzi usłyszałem: „No to co?”. Zdumiony odpowiedziałem, że chciałbym ją zgłosić. Żandarmi popatrzyli na mnie ze zdziwieniem i powiedzieli, bym przechodził dalej. Co kraj, to obyczaj, a właściwie inny stosunek do broni palnej.

Po wyjściu z lotniska ze zdumieniem stwierdziłem, że Jacques przyjechał po mnie nie swoim samochodem, tylko taksówką. Moje zdziwienie wynikało z tego, że dom kolegi leży jakąś godzinę jazdy od Marsylii, a więc rachunek za taksówkę wychodzi spory. Na pytanie o przyczynę takiej zamiany Jacques odpowiedział: „Nie słyszałeś, że tu trwa rewolucja żółtych kamizelek? Jeżdżenie

dr Witold Daniłowicz
www.wdanilowicz.pl



moim maserati jest zbyt ryzykowne – mogą wybić szyby albo spalić samochód”. O żółtych kamizelkach i zamieszaniach w Paryżu, oczywiście, słyszałem. Ale my przecież znajdowaliśmy się na południu Francji, do tego na głębokiej prowincji! Mój przyjaciel wytłumaczył mi, że całe południe jest zrewoltowane, a okolice miasta Arles, dokąd mieliśmy jechać, od dawna stanowiły ostoję lewicy. Szczególnie silną pozycję utrzymywała tam tradycyjnie Francuska Partia Komunistyczna. Dlatego hasła żółtych kamizelek padły na podatny grunt. Mimo tych wyjaśnień wziąłem Jacques’a za panikarza – trudno mi było sobie wyobrazić, żeby w kulturalnej Francji ktoś mógł nas napastować z powodów politycznych!

W restauracji, do której pojechaliśmy, bardzo znanej z wyśmienitego jedzenia (zwłaszcza dziczyzny), było zupełnie pusto. Szef sali wyjaśnił nam, że ludzie się boją i raczej nie wyjeżdżają z domów. Ponieważ to dobra (i droga) restauracja, jej goście mają luksusowe samochody, w których teraz lepiej się nie pokazywać na ulicach. W dodatku wiele dróg jest zablokowanych i nie wiadomo, czy się dojedzie i kiedy się wróci do domu. Słuchałem tych wyjaśnień z otwartymi ustami.

Środki ostrożności

Rano, po szybkiej kawie, zapakowaliśmy nasze rzeczy do zaprzyjaźnionej taksówki i ruszyliśmy w drogę. Przedsięwzięliśmy też pewne środki ostrożności. Jacques siadł z przodu, obok kierowcy, tak byśmy wyglądali jak koledzy taksówkarza, a nie jego klienci – burzuje. W dodatku postanowiliśmy jechać bocznymi drogami, ponieważ radio donosiło, że autostrady i drogi krajowe są zablokowane. Wciąż pozostawaliśmy w kontakcie telefonicznym ze znajomymi podróżującymi po okolicy i pytaliśmy o przejezdność dróg. W ten sposób nadłożyliśmy sporo kilometrów i czasu, ale przynajmniej jechaliśmy bez przeszkód. Mijaliśmy sporo pikiet żółtych kamizelek. Stali przy głównych skrzyżowaniach, ale nie blokowali ruchu – pewnie dlatego, że bocznymi drogami podróżowali głównie miejscowi, a więc ich sąsiedzi i znajomi. Mieli rozbite namioty i coś w rodzaju kokosowników, w których palili drewnem. Co ciekawe, wśród pikietujących prawie nie widywało się młodych ludzi. Większość była w średnim wieku. Na stojakach po-



Trzej muszkietierowie przed wyjściem na łowy: Jacques, Stephane i autor

rozwieszane hasła – głównie nawoływały do odebrania przywilejów „delegatom”, czyli parlamentarzystom i radnym. Nie dostrzegłem żadnych oznak przemocy. Zwróciłem natomiast uwagę, że mijające nas samochody przeważnie miały, na znak solidarności z protestującymi, żółte kamizelki położone na deskach rozdzielczych. Dziwnie się czułem, gdy w tej rewolucyjnej atmosferze jechałem na polowanie. Przeszło mi przez myśl, czy czasem w początkowej fazie rewolucji w Rosji niektórzy mieszkańcy też nie bagatelizowali tego, co się działo dookoła nich, i zamiast przeciwdziałać albo uciekać, chcieli prowadzić normalne życie. Gdy zaś się zorientowali, do czego w rezultacie doszło, było już za późno.

celebracja posiłków

Po szczęśliwym ominięciu wszystkich przeszkód wreszcie wjechaliśmy do parku narodowego, w którym Jacques i jego koledzy dzierżawili obwód łowiecki. Tu już panowały cisza i spokój. Przed wyruszeniem do obwodu należało się posilić. Obiad, podobnie jak kolacja, to dla Francuza rzecz święta, a dyskusja nad wyborem miejsca na spożycie posiłku może się ciągnąć bardzo długo. Tym razem nie było jednak żadnych wątpliwości. Jedną z lokalnych restauracji w opinii zarówno Jacques’a, jak i jego przyjaciela Stephane’a, który

miał do nas dołączyć, oferowała najlepszą kuchnię w całej okolicy. Budynek wyglądał jak kościół – brakowało mu tylko dzwonnicy. I rzeczywiście okazało się, że restauracja mieściła się w byłym kościółku wiejskim. Mogę tylko przypuszczać, że w związku z utworzeniem parku narodowego lokalne wsie opustoszały i kościół stracił rację bytu. Ktoś wynajął budynek i urządził w nim restaurację, a właściwie zajazd. Całkiem prosty, ale jedzenie, jak to we Francji, naprawdę wyśmienite.

Posiłek z Francuzami to przeżycie samo w sobie – prawdziwa celebra połączona z omawianiem każdego dania i wina. My tego niestety nie robimy. Może kiedyś w Polsce też tak było, chociaż zapewne nie do tego stopnia jak we Francji. Tyle lat komunizmu spowodowało, że do jedzenia podchodzimy raczej jak do naładowania baterii w telefonie czy do zatankowania samochodu. To coś, co trzeba zrobić, aby nasz mechanizm funkcjonował. Poza specjalnymi okazjami jedzenie nie jest czymś, co nas szczególnie zajmuje. We Francji wygląda to inaczej. Każdy posiłek to wydarzenie kulinarne, a każde kolejne danie – powód do dyskusji.

zrewoltowane ptactwo

Po skończeniu posiłku w byłym kościele wreszcie mogliśmy się udać ▶

do naszego lokum – wygodnego domu myśliwskiego przekształconego ze starej farmy, pamiętającej zapewne czasy rewolucji francuskiej. Szybko się przebraliśmy, wzięliśmy psy i ruszyliśmy na deptaka na okoliczne pola. Nasz cel stanowiły drozdy, bekasy i bażanty. Niestety, czekało nas wielkie rozczarowanie. Ptaków po prostu nie było! Jak mi wytłumaczono, brak bekasów wynikał ze zbyt wysokiego stanu wody na polach – przeniosły się w suchsze miejsca, gdzie mogły zakładać gniazda. Jeśli chodzi o bażanty, to powód ich zniknięcia okazał się inny. Otóż ze względu na zmianę zasad unijnych dotyczących dopłat do rolnictwa miejscowi rolnicy przerwali się z uprawiania ryżu na pomidory. Zapewne o to chodziło urzędnikom w Brukseli, ale ofiarą tej polityki padły bażanty, dla których pomidory nie są atrakcyjnym pokarmem.

Tak więc zmęczeni, ale nieusatysfakcjonowani wróciliśmy do naszej bazy, żeby po krótkim odpoczynku wyruszyć na złoty kaczek. Zapowiadało się bardzo ciekawie, bo wylosowałem dobre stanowisko. Rozstawiliśmy się wokół sporej zalanej łąki, na której zawsze było dużo kaczek. Niestety, i tym razem spotkał nas zawód. Kaczkom udzielił się duch anarchii panujący we Francji i nie stawiły się w czasie, kiedy ich oczekiwaliśmy. Kilka nadleciało wcześniej (i zostało pozyskanych), ale podstawowa grupa zjawiła się, dopiero gdy zrobiło się już zupełnie ciemno i o strzelaniu nie mogło być mowy. Słyszeliśmy tylko, jak siadają na wodzie wokół nas.

Ostatnią nadzieję na udane polowanie dawało poranne wyjście na kaczki. Zaczynało świtać, gdy rozstawialiśmy się wzdłuż ogromnego zalewu. Już słyszeliśmy ptaki. Ledwo zajęliśmy stanowiska, zaczęły nadlatywać zza naszych pleców w kierunku zalewu. Strzały były dalekie i dość trudne. Kaczki spadały do wody, skąd aportował je świetnie wyszkolony pies Stephane’a rasy Chesapeake Bay retriever. Niestety po jedną z moich, która znalazła się w sporej odległości od brzegu, nie chciał popłynąć. Może była za daleko i pies nie rozumiał, po co jego pan kazał mu płynąć przed siebie. W rezultacie po kaczkę musiał pójść Jacques, który miał najwyższe wodery. Muliste dno sprawiało, że wyprawa po zdobycz pływającą 150 m od brzegu w wodzie sięgającej zdecydowanie powyżej pasa okazała



Restauracja w byłym kościele

się sporym wysiłkiem. Ale dzięki temu nasz wynik znacznie się poprawił – na pokocie mieliśmy siedem kaczek (na cztery strzelby). Tak więc i to polowanie, chociaż przyjemne, nie należało do specjalnie udanych pod względem pozyskania. No cóż, w kraju ogarniętym rewolucją najwyraźniej zbuntowały się także ptaki!

problem z powrotem

Trzeba było myśleć o powrocie do Warszawy. Na lotnisko wyruszyliśmy dużo wcześniej, licząc się z możliwymi utrudnieniami ze strony żółtych kamizelek. Ale, na szczęście, bocznymi drogami (i z postojem na szybki obiad w dawnym kościele) dojechaliliśmy na miejsce sporo przed czasem. Liczyłem więc na to, że spokojnie poczytam sobie książkę w oczekiwaniu na odlot samolotu. Pojawił się jednak niespodziewany problem przy odprawie bagażowej. Miła pani zaczęła mnie wypytywać o dokumenty na przewóz broni. Ponieważ miałem ze sobą Europejską kartę broni palnej, a moje strzelby zostały wpisane do

potwierdzonej rezerwacji, sprawa wydawała się oczywista. Tym bardziej że do Francji przyleciałem bez kłopotów. Myliłem się jednak. Otóż okazało się, że do Marsylii leciałem liniami Air France przez Paryż, natomiast bilet powrotny mam na KLM przez Amsterdam. Holendrzy wymagają zaś dodatkowo zgody swojego urzędu celnego na przywóz, a nawet tranzyt broni. Ponieważ uzyskanie takiej zgody trwa kilka tygodni, byłem bez szans.

Miałem do wyboru dwie możliwości: kupić nowy bilet do Warszawy, co wiązałoby się nocowaniem w Marsylii lub w Paryżu, albo zostawić moją broń pod opieką Jacques’a i odebrać ją podczas kolejnego pobytu we Francji. Wybrałem tę drugą opcję, obiecując sobie miły weekend w Paryżu z żoną, którą ten pomysł na pewno ucieszy. Tak więc do Warszawy wróciłem bez broni i bez ptaków, ale za to z ciekawymi wspomnieniami. Jedna myśl cały czas nie daje mi spokoju – czym się skończy ta rewolucja, której byłem mimowolnym świadkiem? ●